

Nauka i nauuczka

Miała być rewolucja. I będzie. Ale kontrolowana. Ci, którzy uważali, że polska nauka i wyższa edukacja wymagają naprawy – będą zadowoleni. Radykalowie raczej się rozczarują.

Po dziesięciu latach wmawiania nam, że tysiące bezrobotnych studentów psychologii, marketingu i politologii czynią z Polski kraj cudu edukacyjnego. Po dziesięciu tygodniach pracy kilkunastu wybitnych profesorów i kilku urzędników jesteśmy blisko momentu, który na zdrowy rozum powinien być nastąpić w 1990 albo 1991 r. Państwo nareszcie odpowiada sobie na pytanie, po co mu nauka i szkolnictwo wyższe, a nawet wyciąga z tej odpowiedzi organizacyjne wnioski. Teraz my – obywatele – mamy powiedzieć państwu, czy dobrze to sobie wymyśliło.

Na pierwszy rzut oka – nie najgorzej. O szczegóły można się oczywiście spierać, ale istota rewolucji polega głównie na tym, że państwo dostrzegło w nauce i szkolnictwie wyższym sensowną inwestycję, a nie tylko generator ciężarów budżetowych. Państwo, które trochę z przyzwyczajenia, a trochę ze strachu przed falą protestów topiło pieniądze w „błocie” uczelnianym czy w PAN, nie miało powodu specjalnie się interesować, co się z tymi pieniędzmi dzieje. I raczej się nie interesowało, zwłaszcza że nakłady te były bardzo skromne. Państwo, które traktuje wydatki na naukę i edukację jako inwestycje w rozwój gospodarki opartej na wiedzy, musi mieć do nich racjonalny stosunek.

Spóźnione o dwie dekady odkrycie zmienia sposób myślenia o finansowaniu nauki i szkolnictwa wyższego. Rząd proponuje zwiększenie wydatków na stypendialną pomoc socjalną i zapowiada przeznaczenie na nią pieniędzy zaoszczędzonych dzięki reformie KRUS. Jednak studia w państwowych uczelniach mają być płatne, ale dopiero po ich ukończeniu i tylko dla tych, którzy osiągną wystarczająco wysokie dochody. To z jednej strony uwalnia młodych ludzi od dramatycznego pytania, jak sobie poradzą ze spłatą kredytu studenckiego, jeśli pójdą pracować do szkoły czy do publicznego szpitala i będą zarabiali 1200 zł. Z drugiej zaś strony chroni to interes podatników przed inwestowaniem setek tysięcy złotych w wykształcenie lekarza albo inżyniera, który natychmiast po studiach jedzie pracować do Anglii. Pierwsi – być może nigdy – nie zapłacą za swoje studia złotówki. Drudzy zaczną płacić natychmiast.

Uniwersytety też raczej nie zapłoną. To oczywiście ma swoje dobre i złe strony. Władza na uczelniach ma bowiem pozostać w rękach korporacji uczonych. Uniwersytetami będą nadal rządzili rektorzy wyłaniani spośród lokalnej profesury, a nie – jak w Ameryce – rady powiernicze wyłaniane spoza grona pracowników uczelni. Także demoralizująca samoreprodukcja lokalnych środowisk nauki nie zostanie tym razem przerwana. Zrezygnowano bowiem z wprowadzenia obowiązującej w wielu krajach zasady, że młody naukowiec może być zatrudniony wszędzie z wyjątkiem uczelni, w której uzyskał doktorat (namiastką jest pomysł obowiązkowych staży poza macierzystym ośrodkiem).

Z lepszych wiadomości, na akademickiej scenie pojawić się mają uczelnie flagowe, najlepsze uniwersytety łączące najwyższą jakość badań naukowych z wysokiej jakości dydaktyką, zdolne do podjęcia konkurencji międzynarodowej. Będą one miały lepsze warunki materialne, tam również stypendia mają być wyższe w sposób znaczący. Już w przyszłym roku ministerstwo ma też dysponować kilkudziesięcioma milionami na przyciągnięcie do Polski gwiazd światowej nauki. Przeszło 200 mln zł ma z kolei kosztować dobrowolne przeniesienie w stan spoczynku (czyli na emeryturę ze specjalną dopłatą) starszych, nieaktywnych naukowo profesorów. Powinno to odblokować drogę kariery naukowej dla młodszych naukowców, gotowych brać udział w światowym wyścigu.

Reforma systemu szkolnictwa wyższego sprzężona będzie ze zmianami w świecie nauki. Świecie, który sięga poza środowisko uniwersytetów i obejmuje także olbrzymie zaplecze instytutów Polskiej Akademii Nauk oraz jednostek badawczo-rozwojowych. Filarem reformy nauki ma być systematyczny wzrost nakładów na naukę. Minister Barbara Kudrycka chce m.in., by na badania przeznaczono 15 proc. wpływów z prywatyzacji oraz by co roku podnoszono udział wydatków na naukę w relacji do PKB. Stały dopływ dodatkowych pieniędzy potrzebny jest, by wprowadzić skutecznie instrumenty wymuszające lepszą jakość prowadzonych badań. Najważniejszy – naukowcy będą zdobywać pieniądze na badania na drodze konkursów. Stanowiska naukowe mają być obsadzone w trybie kontraktowym na drodze konkursów. Pożegnamy się także z habilitacją, niepotrzebnie – zdaniem reformatorów – hamującą rozwój kariery naukowej. Sprawa jest jednak mocno dyskusyjna. Warunkiem zawodowej stabilizacji na polskiej uczelni albo w instytucie badawczym będzie otrzymanie przyznawanego przez prezydenta tytułu profesorskiego.

System finansowania nauki oparty będzie na trzech filarach. Badania podstawowe sfinansuje Narodowe Centrum Nauki, które w trybie konkursowym wybierać będzie najlepsze pod względem jakości projekty, warte przyznania subwencji badawczej. NCN ma być w pełni niezależne w swych decyzjach od nacisków politycznych i biurokratycznych, czemu ma m.in. sprzyjać jawność procedur i decyzji. Wspieranie badań o znaczeniu dla gospodarki to domena działającego już Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Rola ministra nauki w tym systemie ograniczy się do finansowania dużej infrastruktury badawczej i ewentualnego formułowania tzw. specjalnych programów ministra.

To tylko niektóre z propozycji przedstawionych w „Projekcie założeń reformy systemu nauki i reformy systemu szkolnictwa wyższego”. Jak zwykle problemy tkwią w szczegółach. Reformatorski dokument opracował zespół ekspercki powołany przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego prof. Kudrycką. Udział znakomitych uczonych, jak profesorowie Janusz Lipkowski, Maciej Żylicz, Marek Ziółkowski i organizatorów szkolnictwa wyższego, jak dr Krzysztof Pawłowski (twórca nowosądeckiej WSB-NLU), prof. Marek Rocki z SGH czy prof. Leszek Pacholski z Uniwersytetu Wrocławskiego gwarantował wysoką jakość pomysłów i jeszcze wyższą temperaturę dyskusji wokół wykluczających się koncepcji.

Mimo że ostateczny dokument wyraża kompromis, to jednak niektóre z zawartych w nim propozycji ciągle wywołują dyskusje. Głównym zarzewiem konfliktu jest habilitacja. Likwidacja kolokwium habilitacyjnego jako obowiązkowego etapu kariery, otwierającego drogę do naukowej samodzielności i prawa m.in. do promowania doktorów, krytykowana jest głównie przez przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych. Ich zdaniem, procedura habilitacyjna, niewątpliwie żmudna i niewdzięczna, jest ważnym elementem weryfikacji dorobku naukowego. Zwłaszcza w sytuacji, gdy coraz bardziej dewaluuje się tytuł doktora.

Z kolei w naukach przyrodniczych habilitacja nie stanowi żadnego problemu, dobry naukowiec może ją zrobić niejako po drodze, opierając się na wynikach badań i publikacjach naukowych będących efektem zwykłej, codziennej pracy – komentuje jeden z członków reformatorskiego zespołu kwestionujący habilitacyjny konsens. Można natomiast uprościć procedurę, stawiając warunek wygłoszenia wykładu habilitacyjnego podczas konkursowego ubiegania się o stanowisko naukowe.

Spór o habilitację dodatkowo komplikuje fakt, że do projektu reform wpisano dziwaczny substytut o nazwie uprawnienia promotorskiego „certyfikat będący potwierdzeniem dojrzałości naukowej, uprawniającej do sprawowania opieki nad doktorantem i uczestnictwa w procedurze nadawania doktoratów”. Certyfikat miałby być nadawany przez komisję zewnętrzną na podstawie dorobku naukowego, recenzji. Może zatem jednak lepiej być doktorem habilitowanym niż certyfikowanym?

Co jednak pozostanie z pięknych założeń po realnej obróbce legislacyjnej, naciskach licznych grup interesu i zamianie języka dokumentu programowego na język ustaw? Rezygnacja nawet z jednego elementu wykoła całą reformę. Co bowiem da wprowadzenie konkursowego trybu na obsadzanie stanowisk naukowych i kierowniczych w instytucjach naukowych, jeśli w ślad za tym nie pójda pieniądze umożliwiające umiędzynarodowienie tych konkursów? Podobnie fikcją będzie zmiana finansowania badań (na tryb wyłącznie konkursowy) bez zwiększenia ogólnych nakładów na naukę. Obecnie większa część budżetu nauki idzie na podtrzymanie coraz bardziej przestarzałej i zdekapitalizowanej infrastruktury. Potrzebny jest dodatkowy strumień finansowania.

Potrębna jest też wola polityczna na miarę tej, jaką wykazali się na początku lat 80. XX w. Finowie. Zdecydowali oni wówczas, że będą systematycznie, co rok, niezależnie od uwarunkowań zewnętrznych, zwiększać nakłady na naukę. Utrzymali to postanowienie w mocy nawet podczas głębokiej recesji lat 1992–1993. Dziś konsumują owoce politycznej konsekwencji, ciesząc się opinią najbardziej innowacyjnej gospodarki świata. Czy polscy politycy wykażą się podobną wyobraźnią? Problem w tym, że pierwsze efekty inicjowanej dzisiaj reformy widać będzie dopiero po kilku latach. Choćby przestawienie się na finansowanie badań w trybie konkursowym wymaga okresu przejściowego. Podobnie nie sposób dziś arbitralnie wskazać uczelni flagowych, można jedynie uruchomić proces stymulowania jakości, który przyniesie rezultaty po latach.

Potrzeba więc decyzji politycznych o perspektywie kilkakrotnie dłuższej niż parlamentarna kadencja. Najlepiej, gdyby decyzjom tym towarzyszył ponadpartyjny, narodowy konsens.

Stawka jest wysoka, już dziś zaczynamy bowiem płacić cenę za niefrasobliwe majstrowanie przy systemie edukacyjnym. Zapatrzeni w pięciokrotny wzrost liczby studentów nie dostrzeżliśmy, że kształcą one wszystkich, tylko nie fachowców potrzebnych realnej polskiej gospodarce. W ubiegłym roku zabrakło w Polsce 30 tys. inżynierów, w tym roku luka wyniesie 55 tys., za pięć lat aż 76 tys. Mimo że w Polsce studiuje 2 mln osób. CD Projekt – producenci gry komputerowej „Wiedźmin”, która podbija międzynarodowy rynek, przekonali się, że nie mogą znaleźć odpowiednio przygotowanych programistów, grafików, a nawet marketingowców zdolnych do promowania międzynarodowej marki. Obserwacje CD Projekt podziela wielu przedsiębiorców tworzących nowe miejsca pracy, na które nie sposób znaleźć chętnych. Ponad 10 tys. spośród 30 tys. ubiegłorocznych nieobsadzonych inżynierskich wakatów to właśnie miejsca pracy powstałe w dwóch pierwszych kwartałach 2007 r.

Nie dość, że trzeba odbudować zainteresowanie studiami politechnicznymi, to na dodatek poziom kształcenia licealnego obniżył się dramatycznie. Usunięcie matematyki z obowiązkowej matury spowodowało obniżenie rangi tego przedmiotu w nauczaniu w ogóle. W rezultacie studenci rozpoczynający naukę na politechnikach pierwszy rok poświęcają na zajęcia wyrównawcze.

Jest już bardzo późno na zasadnicze reformy. Opublikowany niedawno raport Światowego Forum Gospodarczego – badający zdolność państw do modernizacji w oparciu o najnowsze rozwiązania technologiczne i naukowe – potwierdził zacofanie Polski. Wśród 127 analizowanych państw uzyskaliśmy 62 miejsce. Od początku tych badań, czyli od siedmiu lat, wypadamy najgorzej spośród krajów europejskich, ostatnio wyprzedziła nas Rumunia i rażno dogania Bułgaria.

Z drugiej strony, trudno o lepszy moment na przyspieszenie działań reformatorskich. Pieniądze z Unii Europejskiej dają szansę załatwienia podstawowych dziur w infrastrukturze, również naukowo-badawczej, zwalniając środki budżetowe na działania systemowe. Co ważniejsze, wyraźnie widać przyzwolenie coraz większej części środowiska akademickiego na zmiany.

Polska Akademia Nauk, nie czekając na rozstrzygnięcia systemowe, wprowadza posunięcia zapowiadane przez swojego prezesa prof. Michała Kleibera. W marcu Prezydium PAN zmieniło regulamin obsadzania stanowisk kierowniczych w jednostkach badawczych, wprowadzając wymóg otwartych konkursów, z obowiązkiem anonsowania rekrutacji w międzynarodowych czasopismach naukowych. Nowy regulamin wejdzie w życie 1 czerwca. **Rozpoczęła się konsolidacja potencjału naukowego PAN, w grudniu ub.r. powstało pierwsze konsorcjum naukowe Biocentrum Ochota, łączące merytorycznie sześć dużych warszawskich instytutów badawczych. Biocentrum Ochota ma być modelowym rozwiązaniem dla kolejnych podobnych inicjatyw, jak Centrum Badań Humanistycznych, Centrum Badań Społecznych i wiele innych.**

Obecnie diskutowany kalendarz prac legislacyjnych, w ramach którego jeszcze przed wakacjami miałaby być przyjęta nowa ustawa o PAN, a dopiero później kolejne ustawy o nauce i szkolnictwie wyższym, skłania do spekulacji, że Akademia ma spełnić rolę testera. PAN jest dobrym modelem badawczym – skupia 8 proc. potencjału naukowego kraju – to rozmiar w sam raz, by przeciwżyć nowe formy organizacyjne i reakcję społeczną na szok reformy.

Rząd Donalda Tuska ma niepowtarzalną szansę nie tylko na zreformowanie polskiej nauki i szkolnictwa wyższego, lecz także na zapoczątkowanie nowego stylu myślenia. Stylu, jaki stał się podstawą rozwoju wszystkich krajów modernizacyjnego sukcesu: Japonii, Korei Południowej,

Finlandii, Danii, Irlandii, stylu, który niezmiennie napędza amerykańskiego kolosa i który pilnie adaptują obecnie Indie, Brazylia i Chiny. Wyraża się on w przekonaniu, że dla sukcesu we współczesnym świecie kluczowa jest infrastruktura wiedzy wymagająca systematycznych, wieloletnich inwestycji i subtelnej systemy badania efektywności.

To inwestycje obarczone dużym ryzykiem i długim czasem oczekiwania na zwrot. Czy tego ryzyka można uniknąć? Owszem, zyskując w zamian pewność, że skazujemy się na cywilizacyjną zapaść.

Źródło: polityka.pl